№ 76. Warszawa, dnia 8 (20) Września 1872 roku. Tom II. — Rok I.



PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40. kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

O PROSZONYM CHLEBIE.

POWIEŚĆ

przez

Waleryę Marrené (Morzkowską).

III.

Ciąg dalszy. *(Ob. Nr. 75).*

Sala ta jednak, widna, obszerna, nie miała w powierzchowności swojéj nic przerażającego. Za wielkim stołem siedzieli wojskowi, urzędnicy, assystujący z prawa i obowiązku ciągnieniu losów; twarze ich były w ogóle łagodne, zmęczone jednostajnym widokiem. Na końcu stołu wznosiło się wielkie koło; w niém znajdowały się losy. Żołnierze pilnowali porządku, patrząc z uśmiechem politowania na przyszłych kolegów; może też niejednemu w téj chwili przychodziła na myśl wieś rodzinna, cichy świat porzucony, do którego tęsknił tajemnie. Przy kole były drzwi drugie te zamykały się niepowrotnie; za tymi, co już wyciągali los do wojska.

Zaczęto czytać listę spisowvch. Każdy po kolei zbliżał się do koła, wyciągał numer zamknięty w drewnianym walcu i podawał urzędnikowi, który odczytywał go głośno, wydając zarazem wyrok: „do wojska, do rezerwy, do domu”. Wśród ciszy rozbrzmiewały te jedne słowa, zwyczajne słowa, choć zamykały w sobie przeznaczenie człowieka.

Scena ta miała w sobie coś fantastycznego. Wprawdzie w abstrakcyjném znaczeniu każda chwila stanowi o przyszłości, każdy na świecie wybiera i wyrabia ją sobie, nie według ślepego trafu, ale świadomie, dobrowolnie, bo moment każdy jest logiczném następstwem minionych momentów, fakt obecny koniecznym rezultatem, summą wypadkową poprzedzających faktów; ale Stach i jego towarzysze nie pomyśleli o tém nigdy. Oni otoczeni cudownością od kolebki, chowani w wierze nieustannéj interwencyi w sprawy ludzkie wyższych potęg, nie mogli mieć pojęcia o fatalizmie, jaki każdy człowiek wyrabia dla siebie i dla tych, z którymi związany jest węzłem solidarności. Tutaj zresztą nie było wolnego



Droga przez las. Kopia z obrazu Rotego.

wyboru: nieprzeparta siła faktów stawała w pozornéj sprzeczności ze światem idei, zdawała się zwyciężać go na razie. Ten wybór niby swobodny, a najzupełniéj poddany ślepéj sile wypadku był jakby szyderstwem wolnéj woli ludzkiéj, nasuwał na myśl złośliwe demony naigrawające się z ludzi w swawoli swojéj. Prostym ludziom koniecznie przychodziło na usta pytanie: dla czego wśród tylu innych, ten a nie inny los wpadł im w rękę?

Jeden po drugim zbliżał się do koła, chwytał i wypuszczał z dłoni rozmaite na przemian losy, aż wreszcie decydował się wyciągać. Z kolei rzeczy losy te były rozmaite, jeden wychodził na wolność; za innymi zamykały się drugie drzwi sali. [illegible]

T[illegible]wał się sprzyjać Stachowéj gminie: [illegible]wnie powracało do domu; dziesięć dobrych [illegible]erów wyszło jeden po drugim, gdy wywołano imię Adamka.

On powiódł w okrąg wzrokiem, źrenice jego niespokojne biegały po obecnych, jakby upatrując przyjaznéj twarzy, na któréjby spocząć mogły. Plaskoty nie było; jego to zapewne szukał wzięć w téj chwili.

— No, idźcie, idźcie, wyrzekł wójt zbliżając się do niego.

— Nie lękajcie się mój człowieku, przemówił ktoś z za stołu.

Adamek skłonił się machinalnie, widocznie myśl odbiegła go z trwogi i niepokoju, automatycznie wykonywał tylko odebrane rozkazy, nie przywykły nigdy działać sam i radzić sam sobie.

Popychany i ciągniony przez innych, stanął przy kole; tu znowu sił mu zabrakło.

— Puśćcie mnie, szepnęł prawie nieprzytomnie.

— No, my ciebie zaraz puścimy tu albo tam, tylko los wyciągniesz, zaśmiał się jeden z żołnierzy.

Te słowa otrzeźwiły go; spojrzał na koło i sięgnął po los jeden wzięty raz wysunął mu się z drżącéj dłoni.

— Ten był dobry z pewnością, szepnął ktoś z boku.

Adamek, który posłyszał te słowa, próbował go pochwycić, jakby słowa te były wyrocznią; ale wziął natomiast inny, podał go urzędnikowi.

Ten rozwinął i przeczytał donośnym głosem:

— „Nr. 27 do wojska."

Teraz przyszła kolej na Stacha. Widział on dramat rozgrywający się w jego oczach, i coś w nim oburzyło się na nikczemność tego cierpienia: wszak on miał nierównie więcéj do stracenia, — cios, który w niego uderzał, przeszywał trzy serca zarazem; przecież nie chciał budzić litości, i jakikolwiek los miał wypaść, chciał znieść go mężnie, z niezachwianém czołem. Dla tego podniósł dumnie czoło, i postąpił naprzód pewnym krokiem, prostując wyniosłą kibić i spoglądając na obecnych.

Był tak piękny w téj chwili że wszystkie oczy zwróciły się na niego.

— Ot dzielny chłopak, odezwał się głos jakiś.

— Będzie z niego tęgi żołnierz, dorzucił ktoś z boku.

Oczy jego wpiły się w twarz czytającego, jak gdyby chciał wydobyć z niéj swój wyrok, nim go usta wymówią.

— Numer trzydziesty, „do wojska," wygłosił urzędnik.

Było coś tak uderzającego w téj postaci, że w sali całéj nastąpiła cisza; urzędnicy i posługacze patrzali na niego z owym rodzajem podziwu, który budzi wszędzie piękność i odwaga. Jeden z żołnierzy przystąpił i położył mu rękę na ramieniu. Stach spojrzał na niego spokojnie, i pewnym krokiem skierował się sam do drzwi prowadzących w głąb budynku.

Może w téj chwili serca dwóch kobiet, których myśli biegły za nim, uczuły tajemnicze wstrząśnienie.

Dzień to straszny był dla nich. Myśl, o niepewności, powiększała ją godzina i chwila każda, a wieść o tém co wypaść miało późno bardzo mogła dojść do wsi, trzeba było czekać cierpliwie wśród burz namiętności i myśli poruszanéj każdą minutą. Wyobraźnia jest lotna i nieubłagana, najdoskonalsze to narzędzie tortury, zostawione w głowie ludzkiéj. Razem czy osobno dwie kobiety widziały w chwili każdéj Stacha przed sobą, widziały go w mundurze, idącego w świat daleki, to znów powracała nadzieja, Bóg zmiłował się nad niemi on powracał wolny, szczęśliwy i w ściśnięte piersi wstępowało życie, by znowu cierpieć, Po sto razy Hanka wybiegała na drogę i spoglądała w stronę w któréj on zniknął jéj z oczu, jakby z powietrza miała spaść wieść pożądana, jakby mogła wyczytać ją w biegu chmur, w locie ptaków, albo w szmerze wiatru, tak stała drżąc za każdym szelestem zapominając czasu i przestrzeni, nie licząc się z niepodobieństwem. Tak minął dzień, a noc straszniejsza była jeszcze: w nocy każda mara wyobraźni przybiera stokroć groźniejsze rozmiary, wzrasta ciszą ogólną, każdym szmerem i każdém krwi biciem, obleka kształty rzeczywistości snem gorączki i stawia przed oczy obrazy, od których na próżno odwraca się myśl przez dzień cały.

Dąbkowa i Hanka, rozdzielane obowiązkami życia, powstały obie wcześnie przed świtem z posłania by uciec od dręczących przywidzeń. Dzień, który wschodził, miał wreszcie je rozwiać lub potwierdzić, nie mogły myśleć o tém bez drżenia. Teraz każda chwila była coraz groźniejsza, każda ołowiem padała im na serce, w każdéj ważyć się mogło przeznaczenie tego, kogo kochały.

Tak upłynął dzień cały. Dąbkowa modląc się siedziała w chacie, w któréj zapomniała nawet ognia rozpalić; Hanka w służbie musiała pracować ale praca nawet nie była dla niéj ulgą, ręce jéj bezmyślnie kręciły wrzeciono, myśl obwarowana koniecznościami bytu szalała w ciszy ducha. Nareszcie dłużéj wytrzymać nie mogąca rzuciła kądziel nie pytając, nie dbając, nic, i pobiegła do Stachowéj chaty. Wszak gdyby powrócił, tutaj najprzód spotkać go mogła.

W izbie było ciemno, dziewczyna wbiegła, i dreszcz ją przeniknął.

— Matko, m tko! zawołała stłumionym głosem.

Stara kobieta podniosła się gwałtownie, ale nie wymówiła słowa; przyszło jéj na myśl, że Hanka przychodziła z wieścią jakąś.

Postać jéj zgarbiona zarysowała się na tle ściany bielonéj, drżąca, przerażona.

— Matko szepnęła dziewczyna, wiedziona tym samym niepokojem, czy nie słyszeliście nic? nie wiecie co się stało? Tak dłużéj wytrzymać nie sposób.

Dąbkowa osunęła się na ławę, siły jéj były wyczerpane.

Hanka stała przez chwilę z załamanemi rękami aż przejęło ją zimno panujące w izbie. Objerzała się w koło, a oczy przywykłe do ciemności spostrzegły nietykane od rana sprzęty.

— Matko, wy nie paliliście ognia dzisiaj, wy nic nie zgotowali sobie, wyrzekła krzątając się około zimnego ogniska i nakładając drwa na nie.

Ale słowa te nie miały wyraźnego znaczenia dla kobiety zabsorbowanéj swoim żalem.

— Stach, Stach! zawołała głucho: Stach, czy on powraca.

Dziewczyna nie odpowiedziała na ten krzyk rozpaczy, odzywający się echem w jéj piersi wzięła w swe dłonie ręce Dąbkowéj, ręce te były zimne jak lód. Uczuła że teraz ona młoda i silna powinna być jéj wsparciem, i wiedziona nieomylnym instynktem, znalazła właściwe słowa, by wyrwać ją z odrętwienia w które była pogrążona.

— Stach, powtórzyła tłumiąc łzy, gwałtem cisnące się jéj do oczu: on powinien znaleźć wesoły ogień i gotową wieczerzę.

Błyskawica radości zajaśniała w przygasłych oczach staréj kobiety na tę mowę Hanki, i z gorączkową energią zaczęła jéj pomagać.

Dziewczyna przyniosła ognia z sąsiedniéj chaty, poszła do obórki wydoiła krowę, nałożyła jéj siana i powróciła niebawem do izby.

Ale uczyniwszy to uczuła, że i ją odbiegają siły: nie miała odwagi gotować jeść, dla Stacha.

— Może napijecie się mleka matko, szepnęła.

Dąbkowa wstrząsnęła głową.

— Nie żąda mi się jeść ani pić, odparła. W południe sąsiadka przynosiła mi strawy, nie mogłam nic w usta włożyć, tylko oczy moje żądają Stacha. Gdzie on jest o téj porze?

Rzuciła to pytanie wichrom zimowym, co wyły w około chaty, niebu, co roztaczało nad nią kopułę iskrzącą, miryadom gwiazd i sercu swemu bijącemu niespokojnie. Odpowiedź miało jéj dać przeznaczenie. Tymczasem w izbie była cisza; te dwie kobiety nie miały dla siebie pocieszającego słowa, i czekały. Godziny mijały ciężkie, nieskończone; kilka razy ogień zagasał i znów buchał płomieniem podsycany ręką dziewczyny, gdy wreszcie przed chatą zrobił się szmer kroków. Obie kobiety zerwały się, słuchały zatrzymując oddech.

Rzeczywiście ktoś zbliżał się do drzwi, i otwierał je niepewną ręką. Wreszcie ukazał się na progu Piotr Siwak.

Hanka nie powiedziała nic, pochyliła twarz zbladłą nakształt chusty świat zamglił się w jéj oczach, zawirował w koło, czuła że go utraciła.

(d. c. n.)

LITERATURA ZAGRANICZNA.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 75).

L'Homme-Femme par Alexandre Dumas (fils). Paris 1872.

Ludzkość i jednostka, mówi autor, niepokojone są ciągle tą miłą i straszną zagadką, która nazywa się *kobietą*. Z niéj rodzimy się i przez nią giniemy nieraz, gdyż obecnie jeśli daje ona życie dziecięciu odbiera je o ile zdoła człowiekowi." Czasy zatém podaniowego sfinksa wskrzeszone, ale czy na prawdę sfinks istnieje? Warto posłuchać jak rozwiązuje ową zagadkę jedna z niewiast, więc jeden z sędziów którym Dumas kompetencyi w téj sprawie nie zaprzecza, twierdząc, owszem że kobiety najlepiéj znają same siebie

i nie potrzebują być pod tym względem przez mężczyzn nauczane.

Pani Anastazya Dzieduszycka w pięknem swém dziele p. n. „Kilka myśli o wychowaniu kobiet, tak powiada:

„Nie mając przyznanego sobie pola działalności, a z natury przedewszystkiem żądna wrażeń i czynu, kobieta używa zwykle podstępu, pochlebstwa i skrytości aby narzucić swoje zdanie, dopiąć swego celu; ztąd zepsucie moralne u kobiet, u mężczyzn niesprawiedliwe przekonanie o dwulicowości, *tajemniczości* kobiety.... Prawdziwa tajemniczość wymaga wielkiego bogactwa i głębi duchowéj; u kobiet niestety, częściéj próżnię i samolubstwo, niż owe cechy spotykamy, *a jeśli mężczyzna nie zawsze jéj istotę określić może*, nie pochodziż to często ztąd, że i ona nie zawsze by umiała zdać sobie sprawę ze swéj duchowéj istoty, albo|że *nie mając stałych zasad i pojęć zmienia się pod różnemi zewnętrznemi wpływami* jak mieniąca się tkanina pod promieniami słońca.

„Dotąd działalność kobiety nie mogła być inną, wypływało to zapewne z jéj położenia społecznego, a to znowu z jéj niedostatecznego wychowania i wykształcenia (str. 90).

Porównawszy przytoczone z dwóch źródeł zdania, widzimy że kobieta pisarz mniéj jest uprzejmą dla płci swojéj, chociaż szczerze pragnie dla niéj wymiaru sprawiedliwości długo odmawianéj z krzywdą płci obu, mniéj grzeczną, mówimy, od pisarza—mężczyzny, który przyznaje wszystkim kobietom dokładną świadomość siebie samych (elles se connaissent bien) a przytém narzuca im jakąś dziwną właściwość usłaniającą je niby mgłą nie zbadanéj tajemnicy przed okiem mężczyzny. P. Dzieduszycka każe myśléć iż najlepiéj zna siebie człowiek rozsądny bez względu na to, do jakiéj płci należy, i że innym najtrudniéj zrozumieć dwa rodzaje ludzi: niepospolitych geniuszów i wielkich głupców, z czego wyprowadza wniosek, że tajemniczość kobiety tak skwapliwie za cudowny urok podawana, jest na nieszczęście ujemnym jéj przymiotem, nie wrodzonym wszakże, lecz przez złe wychowanie rozwiniętym w niéj i wybujałym. Co do nas, znajdując w książce Dumasa niezbite dowody, że pomimo długich i wielostronnych studyów autor sądzi o duchowéj naturze kobiety, jak gdyby robił swoje spostrzeżenia w kraju, gdzie nie ma ani mężczyzn, ani kobiet, i gdzie nawet norma człowieka zatrzeć się musiała w pamięci i w wyobrażeniu badacza,—nie przeczymy, że przykładem swéj niewiadomości stwierdza on niejako wygłoszoną przez siebie uwagę. W saméj rzeczy mężczyźnie trudno poznać kobietę dopóki uparcie *chce widzieć w niéj* coś innego niż to czem jest kobieta, czyli dopóki w niéj *widzieć nie chce* ludzkiego ciała i duszy, ludzkich zalet i skazitelności, zgoła, czynników i uzdolnień całemu rodzajowi właściwych. Skoro przez jakiś dziwny błąd wyobrażę sobie, że zwierzę żyjące na ziemi jest np. rybą, dziwić się mogę dla czego utonęło będąc zanurzoném w wodzie, i przeciwnie jeśli zaliczę rybę do gromady ssących lub do ptaków mogę uważać za cud arcytajemniczy dla czego traci życie wystawiona na świeże i zdrowe powietrze. Słowem, sam sobie stworzę zagadkę tam gdzie jéj wcale nie było.

Przed sądem trzeźwéj logiki kwestya kobieca zamyka się w pytaniu: czy dziewica, siostra, żona, matka i t. p. jest człowiekiem? czy nim nie jest? Jeśli nie jest, wypadałoby zniszczyć wszelkie antropologie, fizyologie, zoologie i tym podobne nauki jako płód wierutnych bajań i od *a* aż do *z* rozpocząć na nowo poznawanie praw przyrody. Jeśli zaś kobieta jest człowiekiem—a zdaje się że powinnaby nie być czém innem, to złe i dobre muszą oddziaływać na nią w równy sposób, jak i na mężczyznę, musi mieć ona jednakie z towarzyszem swoim upodobania, uczucia, cierpienia, wstręty i żądze. Musi istnieć życiem swego rodzaju, rozwijać się według ogólnych jego warunków, uszlachetniać się jak uszlachetnia się mężczyzna, korzystać z czego on korzysta, pracować dla tychże celów, dla których on pracuje.

Rodzi się dwoje niemowląt: chłopiec i dziewczyna. Są one bliźniętami i wychowują się razem. Na zapytania dzieci, rodzice, opiekunowie, nauczyciele nieodpowiadają inaczéj chłopcu, a inaczéj dziewczynie, nie uczą pierwszego że dziesięć razy dziesięć powinno stanowić dłań jako dla mężczyzny, dwieście, ani też mówią siostrze jego że iloczyn tych cyfr ma stanowić dla niéj jako dla upośledzonego umysłu kobiety tylko pięćdziesiąt. Słowem, co uważa się za prawdziwe, za użyteczne, za przyzwoite dla jednego z dzieci, nie może być błędném, szkodliwem lub niestósownem dla drugiego. Dotąd w trybie edukacyjnym panuje jeszcze dla obojga równouprawnienie moralne i umysłowe, dotąd zasady postępowania i naukowe prawdy udzielają się bez różnicy wychowańcowi i wychowance. Ale dzieci rosną i kierunek ich rozwoju zaczyna być odmiennym. W dwudziestym roku życia jedno z nich pojmuje historyę, filozofię, zna gruntownie języki i matematyka nie jest mu obcą, drugie nauczyło się tańczyć, brząkać na fortepianie, paplać próżne głębszéj myśli frazesa. Jakże sądzicie które z nich okaże się teraz zdolniejszém i większy pożytek społeczeństwu rokuje? Mężczyzna, czy kobieta? Zaprawdę, nie spieszcie się z odpowiedzią, bo wprzódy nim moglibyście wyrzec coś o tém, potrzebujecie dowiedzieć się, która z młodych osób starannie została wykształconą, a którą na użyteczną jednostkę kształcić zaniedbano. Co znaczy, że nie płeć, lecz wychowanie (w najobszerniejszém znaczeniu wpływów zewnętrznych) czyni człowieka moralnym, albo nie moralnym, uczonym lub nieukiem, światłym obywatelem (czy obywatelką) lub rozpasanym *ulicznikiem* (czy uliczniсą); wychowanie przysposobiło lacedemończyków, rzymian, franków, germanów, barbarzyńców, akademików, wytrwałych działaczy, gnuśnych lazaronów, kobiety wielkiego świata, kobiety pracy i poświęceń, spartańskie matki, nierządnice i nafciarki.

Jedna to i zawsze jedna tylko ludzkość złożona z wielkiéj ilości osobników różniących się z sobą nadewszystko wychowaniem jakie otrzymały, a już potém zdolnościami wrodzonemi które czasem dają przewagę mężczyźnie nad kobietą, czasem kobiecie nad mężczyzną. Zarzut, dla czego pomimo to summa znakomitości kobiecych niewyrównywa summie znakomitych mężów w polityce, w piśmiennictwie i w sztuce nastręcza podobnąż kwestyę: dla czego do niedawna jeszcze mieliśmy zaledwie szczególnym wypadkiem dzielnych dyplomatów, artystów, pisarzy i t. d. z łona ludu? dla czego np. heloci stali niżéj umysłowo od ateńczyków? lub nie szukając daleko, dla czego dama naszych salonów jest niemal zawsze *stosunkowo uczeńszą* od gromady *mężczyzn* zrodzonych i *wychowanych*, tuż obok jéj pałacu, w nędznych chłopskich chatach, w biedzie i w ciemnocie? Położenie towarzyskie przyczynia się niemało do zmarnowania lub do wzrostu sił w człowieku, a różnica stanowisk określa zazwyczaj różnicę możności dla ludzi, którzy je zajmują i nawet dla przyszłego ich pokolenia, które wśród tych warunków kształcić się kiedyś będzie.

Idzie więc o to, czy towarzyska zależność kobiety od mężczyzny jest niewzruszonym wyrokiem natury, czy dziełem czasowém społeczeństwa? Nawiasem jedynie możemy dotknąć téj sprawy, która chociaż w rzeczy saméj prosta i łatwa przy dobréj wierze do pojęcia—tak przecież najeżoną została płonnemi sofizmatami spierających się o jéj rezultat, że trudno przystąpić do niéj nieporuszywszy mrowiska pseudo-dogmatów obyczajowych i pseudo pewników logicznych.

Kobieta jest samodzielną istotą, o ile człowiek nią być może—powiadamy.

Powołaniem kobiety jest być żoną i matką, a te dwie okoliczności warunkują jéj samodzielność na benefis mężczyzny, słyszymy liczne głosy.

Kobieta może tylko próżnować w świątyni, rodzić i piastować dziatwę w domu, lub hańbić się na *ulicy*, mniema znany „przyjaciel kobiet” p. Dumas.

Niesprawiedliwość ogromna — ale cóż począć na to? dodają inni. Taki już fatalizm natury.

No... bądźmyż raz przecię konsekwentni! Jeśli wbrew wszelkiéj etyce rozumowanéj i chrześciańskiéj zdaje się nam że powinniśmy wyrządzić krzywdę komuś (śliczne zresztą: *komuś)*, z téj wrzekomo pobudki iż chce tego natura, to zobaczmyż jakież to rzeczywiście są jéj wymagania?

Natura chce żeby kobieta urodziła i wykarmiła swém mlekiem dziecię...

Nad to niczego więcéj nie żąda owa potęga do któréj rządzeni samolubstwem odwołują się pozytywiści osobliwszego gatunku, dziko materyalistyczny zastęp *sans le savoir*.

Tak jest, natura dając ludziom płeć odmienną, nie wymaga żeby kobiety przędły *niezbędnie* kądziel i niezbędnie cerowały pończochy, żeby specyalnie sadziły kapustę w ogrodach i piekły placki w kuchni, żeby marniały w bezczynności gdy są posażnemi pannami, i służyły niewolnicзo za narzędzie rozkoszy mężczyźnie w stanie małżeńskim, a nawet nie żąda żeby wykarmiwszy swe dzieci stały się ich opiekunkami, czém są dzisiaj dopóki na tę opiekę mężczyzna raczy im udzielić pozwolenia. Wychowanie potomków nie należy bynajmniéj do téj lub owéj płci, nieobowiązuje i nie wyłącza matkę od téj lub owéj daty, ale jest powinnością *rodzicielstwa*, czyli zarówno macierzyństwa jak i ojcowstwa, czynem uczucia i wolnego uznania, a nie aktem konieczności fizyologicznéj. *(d. n.)*

WRAŻENIA Z WYSTAWY SZTUK PIĘKNYCH.

II.

Malarstwo, jak w ogóle sztuki piękne, nie posiada w obecnéj chwili ani charakterystycznéj cechy, ani wyłącznego kierunku. Jest eklektyczne. Dla potomnych zdefiniowanie go, trudność przedstawi nie małą.

Słychać wprawdzie, że o kierunek walka się toczy. Mówią, że idealizm ściera się z realizmem. Że realizm zwycięża... Świat wszakże czyta tylko buletyny, a boju, ani jego następstw nie ogląda.

Idealizm i realizm! To hasła walki jak świat staréj i jak świat zagadkowéj. To treść i forma, istota rzeczy i jéj symbol, abstrakcya i zmysły, Adonai i Baal: Bóg-idea i Bóg-ciało...

Dzisiejsze starcie tych dwóch potęg wrogich sobie, choć nie wyłączających się nawzajem, ma-

ło przedstawia ożywienia. Daleko mu do gigantycznych bojów, jakie przed wiekami za tę sprawę toczono. Cechą obustronnych wystąpień jest dziś: brak zapału i wiary. Na linii bojowéj padają wprawdzie strzały,ale—wiwatowe. Strzelającym chodzi przedewszystkiem o zrobienie wrzawy. Wrzawa zwraca na nich uwagę ogółu i w indywidualnym bycie staje się dla nich pomocną.

Wiek nasz jest pobłażliwy. U potomnych zyska zapewne miano „tolerancyjnego.” Czy wiecie jednak gdzie tych cnót źródło? W obojętności.

W grunt dzisiejszego społeczeństwa głębokie zapuścił korzenie indyfferentyzm. Nikt dziś na prawdę nie rozgrzewa się walką o zasady. „Wszystko mi jedno” powtarza każdy, jeśli nie w głos to po cichu.

Przeklęta filozofia! Zdaleka czuć ją grobem....

W gronie naszych artystów znajdują się adepci jednéj i drugiéj szkoły: idealiści i realiści. Istniejąc obok siebie, nie tworzą bynajmniéj obozów. Ta ich harmonia przyczynia się wielce do urozmaicenia wystawy.

Realistą czystéj wody jest bez wątpienia pan Gryglewski. Obcuje on z materyą i bezwiednie ulega jéj wpływom. Nauczył się *in crudo* ją przedstawiać i jest dziś jéj arcydoskonałym portrecistą. Wprawdzie materya przybiera u niego świetność nie całkiem naturalną, ale dzieje się tak z nią zawsze, ile razy przejdzie przez alembik sztuki.

Najnowszą pracą p. Gryglewskiego jest *Wnętrze złotéj sali w Podhorcach.* Forma ciężkiem choć wspaniałem brzemieniem przytłacza tu ideał. Widz przywykły do powierzchownego traktowania sztuki, widz-dyletant, który daje ucho tylko głośno mówiącym obrazom, mimo tego przejdzie obojętnie. Może oczy jego ucieszą się czarowną grą świateł, może się zadziwi nad mistrzowską kombinacyą linii—ale żadna ze strun serca nie zadrży mu wzruszeniem. A jednak.... piękny to *obraz!* Wnętrze sali pełne pańskiego i artystycznego przepychu. Naturalność przedziwna. Złoto rzuca ognie, marmury lśnią zimnym blaskiem kryształu, freski i mozajki kokietują całą tęczą kolorów. Perspektywa rozbraja najsurowszego z matematyków. Jest to apoteoza materyi...



Pierwsza próba konnéj jazdy. Układ i rysunek Antoniego Piotrowskiego.

Do zalet obrazu zaliczam wyborną *syntezę*, przymiot, który nazwaćby można: jednością w różności. Artysta nie zgubił się tu w nadzwyczajném mnóztwie szczegółów, ale wszystkie potrafił zamknąć w całość artystyczną. Wspomnę także o zalecie innéj. Obraz zgodnie z treścią swą posiada w rysunku i kolorycie przymiot zwany *solidité.* Przymiot ten polega mniéj więcéj na tém, żeby przedmiotom materyalnym, stałym, prócz pozorów bryłowatości nadać ciężkość i (że użyję trywialnego nieco słowa) *osadzistość.* Rzadka to zaleta u naszych artystów malujących powietrzne zamki i kartonowe drzewa.

Realistą w intencyi jest pan Szyndler. Tak przynajmniéj rekomenduje go *Męczeństwo świętéj Afry.* Przedewszystkiem ostrzega się widza i czytelnika, żeby kompozycyi téj nie brał za obraz religijny. Jakkolwiek bowiem przedstawia chrześciankę paloną na stosie, i posiada wszystkie *formy* illustrowanéj martyrologii—nie podobna jéj zaliczyć do obrazów, które z ducha silnie religijnego poczęte, mają władzę toż samo uczucie w patrzącym obudzać. Może się mylę, że artyście nie szło tu wiele o tryumf religii chrześciańskiéj. Może się mylę, ale założył on sobie tylko: *zrobić* obraz mocno efektowny. Artyście z takiemi intencyami mało chodzi o źródło, z którego czerpie swój pomysł. Z równym zapałem będzie on illustrował Biblię i Zendawestę. Przedmiotu dostarczy mu tak dobrze starogermańska legenda, jak Kronika Galla lub podanie ludowe. O jedno tylko się troszczy: o efektowność sytuacyi. Taki przedmiot jest dla niego dobry, który posiada jak najwięcéj powierzchownego piękna. Takiéj sytuacyi szuka, w któréj z naturalnego ustosunkowania wypadków, wywiązuje się gotowe już „opus” i w któréj wypadki te, o ile można różne treścią, tworzą dla oka: arcyozdobną mozajkę. Artysta taki ma przytém swój odrębny sposób pojmowania faktów z historyi i życia. Podług niego cud Odkupienia dla tego tylko się spełnił, żeby dać Klopstockowi pomysł do *Messyady,* a krwawa wojna we Francyi po to się odbyła, żeby Hugo mógł napisać swój: *Rok pełen zgrozy.*

Wracam do p. Szyndlera. Realistyczny jego pomysł zbawić tylko mogła: niezwykła świetność wykonania. Wtenczas *efekt* utworzony przez kombinacyę takich „cyfr estetycznych” jak: noc i purpurowa łuna ogniska, cisza w górze i ruch morderczy na ziemi, anielska twarz świętéj i pogan szatańskie lica — efekt taki, powtarzam, dałby obrazowi pewną materyalną siłę, a idealistom zadumaćby się kazał.... Panu Szyndlerowi jednak zabrakło talentu, czy może tylko cierpliwości — dość, że obraz jego nie posiada ani odrobiny precyzyi. *Malowany* on gorzéj niż miernie. Tak jak jest, sprawę realizmu bardzo słabo popiera.

P. Kotsis, który umie złoto poezyi wynajdywać w popiele powszedniego życia, dał nam sielankę zatytułowaną: *Dziecię śpiące w polu.* W obrazku tym treść i forma łączą się w harmonijną całość. Realnym jest on o tyle, o ile kształtów wziętych z życia nie przeistacza, dając im tylko pewną wielkość i siłę poetyczną. W tém właśnie kojarzeniu szczytności z prostotą, leży potęga sztuki. Fundamentem jéj ma być ziemia i życie w najprostszéj więc najistotniejszéj formie—ale szczyt jéj musi wybiedz tak wysoko, żeby aż dostał do siódmego nieba ideału.

Na obrazku p. K. widzimy maleńki fragment tego poematu, którego strofy pisali sielankarze

greccy, miodousty Owid, Delil wymuskany, nasz rzewny Symonides i ci wszyscy, którzy patrząc oczami duszy na przyrodę, widzieli w jéj tajemniczym ołtarzu: bóstwo. Treść fragmentu poczerpnięta z uroczystéj „pory żniw“ które są świętem Cybeli słowiańskiéj. Sierpniowe niebo płonie żarem—zboże do fali płynnego złota podobne chwieje się i ugina pod ciężarem ziarna; widać wioskę otuloną w mgłę oddalenia, za wioską błękitnieją lasy i góry... Na pierwszym planie duży snop świeżo związany sypie ziarnem, a za nim tkwią grabie wbite w ziemię i czerwieni się uwiązana do nich płachta. Grabie i płachta są sypialnią dziecięcia. Ta „sypialnia o południu" tworzy niby *pendant* do Hugonowskiéj „Sypialni o świcie.“ Tu i tam dziecię śpi roześmiane, a majestat niewinności otacza je aureolą. Improwizowany namiot na wskroś przejmuje słoneczne złoto i lichą szmatę w purpurę przemienia. Złoto i purpura!—azaliż nie królewskie to barwy? Zaprawdę, coś monarszego jest w tym obrazku, tyle powszednim treścią.

Jakkolwiek w pogadance mojéj więcéj zajmuję się duchem niż formą kompozycyi malarskich tu jednak nadmienić muszę, że obraz p. Kotsisa doskonałą też odznacza się techniką. Szczególniéj perspektywa przy czteroplanowym krajobrazie niemało przedstawiająca trudności, wyszła w nim bez zarzutu.

Na jednym poziomie z p. Kotsisem możnaby umieścić p. Kostrzewskiego, artystę, który Ikarowych skrzydeł zgoła nie używa, ale chodzi po ziemi i zamiast idealnych mieszkańców księżyca, wyprowadza przed nas ludzi z krwi i ciała, między którymi nierzadko spotykamy naszych „dobrych znajomych.” Umie on jak Ursus twarz Gwynplaine'a, znaczyć twarze tych ludzi „policzkiem światłości,” umie z czarnéj ziemi pól naszych wyprowadzić kwiaty ideału—nic to jednak idealizowanie powszedności jest jego missyą artystyczną. Objawia się w nim przedewszystkiém humorysta, a następnie słabiéj już nieco—satyryk. Przeprowadziwszy paralelę między literaturą i malarstwem, powiedzieć można, że p. Kostrzewski jest bratem po duchu Wilkońskiego. Bywa wprawdzie niekiedy i Lenartowiczem malarstwa—ale idylliczny kierunek coraz słabiéj się w nim objawia, ustępując miejsca humorystyce i satyrze, które prędzéj czy późniéj całkowicie go zaabsorbują.

Jednym z piękniejszych promyków tego właśnie idyllizmu, jest obrazek przedstawiający *Dzieci wiejskie*. Chłopcy i dziewczęta, przy muzyce pastuszka, który dmie w fujarkę pląsają po murawie ochoczo. Jakże zabawie téj daleko do rozrywek bogatych dzieci! Jakże daleko jéj do owych *kinderbalów* wytwornych, na których postrojone panięta uczą się eleganckiéj komedyi życia i na dorosłych ludzi pozują. Na wesołości przecie i tu niezbywa. Więcéj jéj może nawet niż na owych balach. A salon dzieci wiejskich czyż nie piękniejszy od salonu najbogatszego bankiera? Wszakże powałą tego salonu — niebo, posadzką--dywan murawy haftowany kwieciem; a gospodarzem—Bóg. Pląsającym dzieciom przygląda się dziad siwy a chmurny... Figura dziada arcypoetyczna. Widz jeśli się pilnie wpatrzy w jego twarz ponurą a siatkowaną zmarszczkami, z których wygląda jakaś starych mogił groza, widz taki, gdy posiadł od nieba choć trochę daru wyobraźni, utworzy w marzeniu całe poemata smutku, całe epopeje boleści...

W *Polowaniu na niedźwiedzia*, p. K. dał nam oprócz walki człowieka ze zwierzęciem--zajmujący krajobraz zimowy. Na niewielkich rozmiarów płótnie przedstawił tylko ustęp lasu zasypanego śniegiem, w ustępie tym jednak potrafił zamknąć pojęcie o całości lasu. Tak w kiełku zamyka się roślina. Krajobraz ma w sobie dużo *powietrza*, ma *dal* optyczną, ma niebo zimowe z kłębiastemi jak wełna chmurami. Jest całością jako dzieło sztuki i jako dzieło natury.



GRYZĄCE SIĘ PSY. Kopia z obrazu Snydersa w galeryi Ermitażu.

P. Dylczyński po treść do kompozycyi wybiegł „po za dymy wioski rodzinnéj.“ Obraz jego illustruje jedną z kart historyi powszechnéj serc ludzkich. Przedstawia mianowicie: *Fausta i Małgorzatę.*

W olbrzymim Panteonie sztuki figury tych dwojga kochanków nie mają sobie równych; mistrz wykuł każdą z nich z pojedynczéj sztuki kamienia i ożywił Pigmalionowém zaklęciem. Duchy ich powiązane różową nicią miłości błądzą w mroku Elizeum, jak dwie gwiazdy bliźnie jak dwa liście jesiennym pędzone wichrem... Byt swój poczęty w marzeniu poety daléj wiodą. Gdzie?—Na planecie mistycznym, wyłączonym z pośrodka materyalnych światów — na planecie wyobraźni. O! bo i człowiek jest *stwórcą.* Dziełom Boga, czyż nie przeciwstawia on dzieł własnych? Czyż nie daje życia postaciom które trwają wiecznie? Czyż na miejsce sfinksowego X, które jest życia zagrobowego symbolem, nie stawia swego raju piekła i czyśca? Czyż z lodu i ognia nie układa strof *Boskiéj komedyi?..*

Faust i Małgorzata są kreacyami myśli genialnéj, ducha *twórczego.* Zamykają w sobie światy całe. On—to społeczność tytanów szturmujących do nieba. Ona—to całe *piękno* ziemskiego bytu.

Oblekać je w kształty zmysłowe—mrzonka!

Kusił się o to Gounod, mistrz dźwięków. I cóż? Stworzył *operę...* Kusił się Kaulbach, mistrz form plastycznych. I cóż? Zrobił kilka illustracyj... Nic więcéj.

Opera ta i te rysunki piękne są bez zaprzeczenia—ale nie ma w nich ani Fausta ani Małgorzaty...

Na obrazie p. Dylczyńskiego także ich nie ma Co gorsza, nie ma tam nawet pary kochanków Twarze siedzących obok siebie młodych ludzi w ubiorach średniowiecznych, noszą na sobie zimny wyraz konwenansu. A przecież, jak mówi Sztyrmer, biegły ludzkiego serca anatom: „miłość jest zawsze do pewnego stopnia *waryacyą.*“

Jednak *suum cuique.* Koloryt tego obrazu jest rzadkiéj piękności. Drzewa kwiaty i murawa mają wiosenną świeżość. Pies leżący na murawie jest wybornym portretem łaciastego kundla. Technika w ogólności świetna. Ale czyż *wszystkiém* ma być technika?...

P. Głębocki w dalszym ciągu pamiątek z Jasnéj góry" przysłał na wystawę *Chór Częstochowski.* Jest to praca nie bez zalet. Rysunek w niéj poprawny, koloryt trzymany w tonie spokojnym i naturalny. Mury i rzeźbienia oświecone ulewą dziennego światła pełne plastyki zmysłowéj. W ogólności, „Chór" jako *miejscowość* z wiernością powtarza się na płótnie. Ale „Chór“ jako *pojęcie* zostaje na boku... Widza-estetyka razi w nim przedewszystkiém trywialne traktowanie przedmiotu. Jakto? Więc nasza *Mons Clara* tak ogołocona z poezyi, że artysta może ją wprowadzać w sfery sztuki z tém uczuciem zimném, z jakiém naprzykład bankierowi bogatemu maluje podobiznę jego pałacu? Jakto? Czyż nie ma w niéj skarbu wspomnień czarownych, poezyi przeszłości chwytającéj za serce, duchów co błądzą żałosne, a dla artysty zmieniają się w aniołów natchnienia?

Panu Głębockiemu robię surowy zarzut z tego pominięcia idealnéj strony przedmiotu. Wypłoszył z niego duszę a zostawił kształt, skielet nic przez się nie mówiący. Czemuż nie rzucił na płótno jednego z anielskich promieni poezyi, czemuż nie oświecił go łuną Prometeuszowego ognia! Obraz jego byłby wtenczas czemś więcéj, niż obojętną kopią murów z ustawionemi przy nich ławkami...

Pan Maleszewski swoim pełnym gracyi wytwornéj pastelem, przypomniał nam jeden ze snów przeszłości. Pastel wyobraża „skrępowanego Amorka," i przenosi patrzącego w epokę końcowych lat XVIII stulecia. Jest to epoka eleganckiego epikureizmu, miłostek „à la bergère," filozoficznéj niewiary i miłostek oprawionych w ramy idealne. Mężczyzna powtarza przy hulance wiersze Lukrecyusza lub szyderstwa Woltera, kobieta pudruje się, ściska pasterskim gorsetem i odmawia modlitwę, w sto lat późniéj wznowioną przez Michelet'a: „Panie Boże! uczyń mnie piękną"... Malarz przedstawia „Podróż do Cytery" poeta opiewa „Swiątynię w Knidas." Miłość jest ładniutkim chłopczykiem z różową twarzą i złotemi włosami. Chłopczyk nosi kołczan pełen nieszkodliwych grotów, które choć w serce trafiają, nie ranią jednak śmiertelnie. Od jego postrzałów nie dostaje się szaleństw Gustawa ani obłędu Wertera... Chłopczyk robi niekiedy psoty i bywa za nie karcony. Przystrzygają mu wtenczas skrzydełka, albo krępują rączki różową wstążką. Tę ostatnią karę widzimy właśnie na obrazku. Dziecię pięknéj matki i brzydkiego ojca szamocze się, usiłując daremnie stargać więzy. Wyraz jego twarzy jest taki, że każda z kobiet młodych musi ulitować się nad nim i szepnąć z półuśmiechem: „niebożątko"... *Robota* téj eleganckiéj kompozycyjki dobra. Ciało Amorka ma miękkość i puszystość brzoskwini.

Pastele panny Dukszyńskiéj pod względem miękkości nie dorównywają powyższemu. Twarze na portretach są w większéj części płaskie, co dowodzi, że panna Dukszyńska nie posiadła jeszcze tajemnicy pastelowego *haut relief.* Tak naprzykład jéj *Dama w czarnych koronkach* ma twarz jakby z kości słoniowéj wyrżniętą. Nie znać tam pod skórą ani krwi krążącéj, ani żywych muskułów. Akcessorya tylko wybornie oddane, a w wykończeniu znać kobiecą prawdziwie cierpliwość.

Mniéj martwym jest inny portret panny Dukszyńskiéj przedstawiający *Damę z różą we włosach.* Téj twarz posiada ożywienie i *wyraz* o który przedewszystkiém winno chodzić w portrecie. Zarzuciłbym tylko, że włosy téj damy mają kolor nie spotykany nawet w wystawach fryzyerskich, a wpięta w nie róża zerwaną została w późnéj już jesieni.

W ogólności w pracach pani Dukszyńskiéj widzę jedną kardynalną wadę: brak studyów anatomicznych. Dokładne poznanie układu mięśniowego twarzy (przynajmniéj) przyniosłoby korzyść zarówno dlą niéj jak dla sztuki.

W rodzaju malarstwa portretowego wystąpili z debiutami panowie: Kowalski i Szwojnicki. Z debiutów tych wszakże trudno wyprowadzić pochlebne o ich przyszłości artystycznéj wnioski. *Portret damy* pierwszego z nich zaleca się przynajmniéj jakim takim rysunkiem,—drugiemu zbywa i na tym przymiocie. Nie zatrzymuję się więc długo nad pracami tych panów i przechodzę do krajobrazów.

Najrealniejszym z produkujących się obecnie krajobrazistów jest p. Marczewski. Wystawił on kilka widoków Wilna i jego okolić, przeniesionych na płótno tak dokładnie i z taką wyrazistością konturów, że mogą iść o lepszą z optycznemi *obrazami* kamery-obskury. Ten jednak realizm nie wyszedł na korzyść artyście. Krajobrazy jego wyglądają *trywialnie.*

Artysta winien przysłaniać nagość natury. Kształty jéj, choćby najzupełniéj skończone muszą ulegać przeistoczeniu wchodząc w słoneczną sferę sztuki. Sztuka rzuca na nie zasłonę (niekiedy nader przejrzystą) ubiera je w draperyę artyzmu i wyciska na nich swój stygmat uświęcający. Bez téj zasłony i stygmatu stoją one po za jéj wrotami i jak cienie Dantejskie wołają „otwórzcie!"—napróżno.

Narkotyczne prądy wychodzą z obrazu pana Brzozowskiego przedstawiającego *Zacisze leśne.* Jest to kącik uroczysty, jakich pełno posiadają lasy nasze. Człowiek rozmarza się w nich poetycznie—albo usypia. Do tych pokrewnych stanów duszy i ciała usposabia tam wszystko: duszny zapach sosen, szemranie liści, szklany głos strumienia, który jak melancholik do siebie wciąż szepcze. Zacisze to wszelako posiada jedną nielogiczność: nazbyt w nim jasno. Do marzeń i do drzemki potrzeba pół-światła któreby nie raziło źrenicy ani nie kłóciło się z niepewném oświetleniem krainy fantazyi...

Krajobraz górski pana Jaroszyńskiego, jakkolwiek ma w sobie monotonność, o któréj wspomniałem w przeszłéj pogadance, jednak ładny jest i mile bawi oko wybredniejszego nawet widza. Strumień spadający z głazów jest tu w tym szalonym skoku *estetyczny,* tak jak estetycznym musi być aktor nawet w scenie konania. Kaskada z rzeczywistą siłą rozbija się w pianę i kurz srebrny. Jest w tym krajobrazie *ruch* — a znać go w konwulsyjném drganiu strumienia.

* * *

W cichym oddziale *rzeźb* mało nowości.

Pan Wiśniowiecki wystawił popiersie *Dawisona.* Jest to rzeźba pełna tragicznego patosu i gwałtowności. Twarz artysty-aktora, którego zabiły *wrażenia,* nawet w kamień zaklęta obudza dreszcz w patrzącym. Biały głaz żyje—oczy patrzą i miotają ognie—z ust lada chwila wybiegnie Szekspirowski wykrzyk...

Może mi wrażenia kolorową przepaskę nasunęły na oczy, może duch mój uległ przemożnéj władzy złudzenia—ale w pracy pana Wiśniowieckiego dojrzałem zapowiedź nowego zwrotu na jednostajnie gładkich szlakach rzeźby. Objawił mi się niby promyk świtu, niby zadrganie cieniów draśniętych pierwszym grotem jutrzenki.

Czemużby nie! Czyż rzeźba nie czeka na swoich Delaroche'ów, Beethowenów, Słowackich?...

Dla ścisłości sprawozdawczéj dodaję, że p. Sawicki wypracował dłutem biust Syrokomli, a p. Mielechowski medalion dziecka.

Są to rzeźby jakich wiele. *(gm).*

KORESPONDENCYA

Lwów we Wrześniu.

Cholera zbliża się do nas zastraszającym krokiem, i co rano budząc się ze snu zapytujemy: czy nie przybył już ów gość niemiły zwiastujący się żałobą i przerażeniem? Dotąd Bogu dzięki nie ma jéj we Lwowie, chociaż rozgospodarzyła się na piękne we wschodnich powiatach Galicyi. W Podwołoczyskach, Tarnopolu, Zbarażu grasuje na piękne; słusznie więc obawialiśmy się, iż przychodzące ztamtąd trzy razy pociągi kolei wnet nam ją przyniosą. Tymczasem nie wiem czém się to dzieje że zamiast iść prosto na Lwów, który już ze swego położenia w kotlinie między górami nie wystawionyna przewiew powietrza, zdaje się bardzo dla wszelkich epidemij dogodném miejscem, cholera obrała inny kierunek, i wygiąwszy się wypukłym łukiem na Kopyczyńce i Czortków dosięgła Czer-

niowiec. I to nie po raz pierwszy tak się stało. W r. 1868 grasowała cholera także na prowincyi, gdzie niegdzie bardzo gwałtownie, a Lwów ominęła, chociaż dawniéj nie bywała grzeczną. Są to niewyjaśnione dotąd właściwości pochodu téj epidemii, które gdyby można zbadać, naprowadziłby to mogło na skuteczne środki zapobieżenia jéj wybuchowi. Ale jak na teraz, jeżeli cholera nas ominie, to pewnie nie z obawy przedsięwziętych przeciw niéj środków sanitarnych; bo dotąd przynajmniéj nic tu u nas we Lwowie nie przedsięwzięto, aby jéj zapobiedz. Jest podobno mianowany z ramienia rady miejskiéj jakiś komitet zdrowia, ale czynności jego nie widać. Nie przedsięwzięto dotąd systematycznéj desinfekcyi, nie ma lekarzy eksponowanych po dzielnicach, zgoła nic co w takich razach przedsiębrać należy. Daj też Boże, aby się bez tego wszystkiego obeszło.

Tymczasem klęska goni klęskę. Gdy w Galicyi wschodniéj grasuje cholera, od Kolbuszowéj z okolic nadwiślańskich zachodniéj Galicyi donoszą o wylewie wód, które skutkiem długich i gwałtownych deszczów w drugiéj połowie zeszłego miesiąca, niezmierne poczyniły szkody. Pola zniszczone, wsie wodą zalane, oto obraz jaki nieraz przedstawiają te nieszczęsne okolice, wystawione z blizka na niebezpieczeństwo powtarzające się zwłaszcza z wiosną pod czas pękania lodów i przybytku wód w górach. Trudna to walka z żywiołem rozhukanym przy tak nieszczęsném położeniu okolic nadbrzeżnych; wszelako wieleby tu uczynić można i nieraz skutecznie zapobiedz niebezpieczeństwom, gdyby nie owo niedbalstwo i zapoznanie własnego interesu, będące chroniczną naszą chorobą, paraliżującą najlepsze urządzenia i najzbawienniejsze przepisy i nie dającą się rozwinąć należycie autonomii gmin, bo jeżeli kto to ludność wiejska mająca sobie stworzyć tę autonomię, bardziéj niż kto inny chorobie téj ulega. Wszystko u nas idzie tym torem. Są przepisy—ale nie wykonane—tak jak na powiślu są tamy i wały—ale ich nie strzegą i nie utrzymują w należytym stanie; mamy samorząd—ale się sami rządzić nie umiemy. Oto jeden przykład jeszcze:

Przed kilku dniami zbudził nas z brzaskiem dnia dzwon pożarowy. Mamy tak doskonałą straż ogniową, tak zręczny i wzorowo urządzony korpus pompierów miejskich, iż nie przywykliśmy nawet zwracać uwagi na dzwon zapowiadający wybuch pożaru. Pożar bywa rozrywką gawiedzi publicznéj, ciekawym dla niéj widokiem, zresztą nikomu powszednich nie przerywa zatrudnień, albowiem przyzwyczailiśmy się do tego, iż w pół godziny każdy pożar bywa ugaszony, a gdy się pali dach nad trzeciém piętrem, można na pierwszém spokojnie kończyć rozpoczęty obiad, będąc pewnym, iż nim podadzą wety, ogień będzie już przytłumiony i wszystko do dawnego powrócone porządku. Tym razem wszakże pożar zdawał się groźniejsze przybierać rozmiary, ile że wybuch był w samym środku miasta, a grube kłęby dymu zaległy rynek i przyboczne ulice. Palił się klasztor pp. Ormianek, składający część zabudowań otaczających kościół ormiański, w którym znajduje się bank *Pii Montis* i pomieszkanie arcybiskupa. Niebezpieczeństwo było istotnie wielkie, tém bardziéj że wszystko to położone w ulicy ciasnéj, wśród domów krytych gontem. Ale straż ogniowa popisała się dzielnie jak zwykle. Systemat ograniczania pożaru okazał się jak zawsze skutecznym. Zerwano poblizkie dachy i ograniczono ogień tak dobrze, iż ani kościół, ani bank się nie zajął, a skończyło się na dachu klasztornym, i na zerwaniu dachów poblizkich. Ale zachodzi pytanie, dla czego wszystkie te dachy były kryte gontami, skoro ustawa ogniowa i przepisy urzędu budowniczego od dawna już wzbroniły pokrywania gontem dachów miejskich? Dozwolono tylko istnieć starym dachom gontowym jeszcze do czasu, dopóki same nie zniszczeją, wolno je tylko naprawiać częściowo, kto zaś pokrywa cały dach, musi pokrywać blachą. Dobry to przepis, a od chwili gdy został wydany, miały czas zbutwieć wszystkie dachy; zdawałoby się, iż Lwów cały od dawna powinienby być pod blachą. Tymczasem przeciwnie—mało gdzie ujrzeć blachę, natomiast po wszystkich dachach rysują się jak mappy różnowzore, starsze i nowsze łataniny, bo przepis dozwala łatać gontem dachy wymagające naprawy. Kto więc potrzebuje odnowić dach cały, a skąpi na blachę, rozkłada pobicie całego dachu na lat parę i czyni to częściowo. Jest to mała próbka, jak u nas umieją omijać ustawy i jak na to przez szpary patrzy miejski urząd budowniczy. Przy tak niedbałém przestrzeganiu przepisów porządku publicznego, może klęska pożaru pomimo zręczności i pilności straży ogniowéj dać się kiedyś ciężko miastu we znaki.

Kiedy już mowa o klęskach, zapiszę tu jeszcze jedną, nie mniejszą może od wyżéj wymienionych, wynikającą z braku dostatecznéj liczby szkół we Lwowie. Klęski téj doznają właśnie w obecnéj chwili, jako w dniach zapisu uczniów i otworzenia kursów naukowych, rodzice, którzy w zamiarze oddania synów swych do szkół we Lwowie, licznie przybyli tutaj z całéj prowincyi, i doznali w znacznéj części bardzo bolesnego zawodu, zwłaszcza ci, którzy synów swych chcieli oddać do szkoły realnéj. Natłok uczniów do szkół realnych powiększa się u nas ogromnie z każdym rokiem, a ministerstwo oświecenia, od którego ostatecznie zależy zakładanie szkół i przeznaczanie na ten cel potrzebnych funduszów, pomimo wcześnie uczynionych przedstawień rady szkolnéj krajowéj, nie zajęło się dotąd pomnożeniem odpowiedniém ich liczby, z czego wynikła katastrofa obecna, iż połowa zgłaszających się uczniów musiała pozostać nieprzyjęta z rozpaczą rodziców a szkodą młodzieży. Rada szkolna wydała przepis, iż w żadnéj klassie nie może się mieścić więcéj nad pięćdziesięciu uczniów, przepis tak ze względów hygienicznych, jak dydaktycznych niezmiernie zbawienny i rozumny. Ztąd wynikło, iż niektóre klassy mają po trzy i cztery oddziały. Z tém wszystkiém pomieszczona w zabudowaniu ratuszowém, przez miasto w tym celu ofiarowanym, tutejsza siedmio-klassowa szkoła realna, jedyna we Lwowie, nie może więcéj pomieścić uczniów nad ośmiuset, a według téj liczby są też i siły nauczycielskie obliczone. Tymczasem w bieżącym roku już pierwszego dnia wpisu zgłosiło się tysiąc kilkuset uczniów. Kłopot dyrekcyi szkoły co z tém począć, był wielki. Odniesiono się z zapytaniem do namiestnictwa i rady szkolnéj. Skończyło się na tém, iż kto pierwéj się wpisał, ten został przyjęty. Późniéj zgłaszającym się kazano czekać na otworzenie drugiéj szkoły realnéj, co oczywiście w tym roku już nastąpić nie może, a jeśliby nastąpiło, to dopiero może w połowie zimy, w połowie kursu. I jakąż z tak późno otwartéj szkoły odniosą w tym roku korzyść uczniowie?

Nasuwa się pytanie, zkąd pochodzi ten wielki z każdym rokiem pomnażający się napływ do szkół realnych? a zarazem obawa zaniedbania nauk humanitarnych udzielanych w gimnazyach. Główną zapewne przyczyną jest budzący się coraz więcéj ruch na polu przemysłowém i fabrycznéem i mnożąca się liczba kolei żelaznych, to wszystko rodzi potrzebę coraz większéj liczby ludzi technicznie usposobionych i otwiera im pomyślne widoki przyszłości. Wszelako wielce się przyczynia do tego także ów ogólny prąd umysłowy, któryby można nazwać szałem chwili obecnéj, pochłaniający wszystko w kierunku tak zwanym pozytywnym, stawiający nauki przyprzyrodnicze i techniczne na najwyższym piedestale umiejętności. Nie tutaj miejsce wchodzić w rozbiór téj kwestyi ze strony umiejętnéj; pozwolę sobie wszakże uczynić uwagę, że pod względem praktycznym tak powszechne rzucanie się w jednym kierunku musi ostatecznie pociągnąć niepomyślne skutki, zrodzi albowiem w końcu proletaryat techników, pozostający bez chleba, skoro liczba techników przerośnie rzeczywistą potrzebę kraju. Zaniedbanie nauk humanitarnych z drugiéj strony szkodliwie oddziaływać będzie na ogólny cywilizacyjny postęp społeczeństwa. Prawda i to, że system nauk w gimnazyach naszych powinienby uledz znacznéj reformie; przeznaczono w nich zbyt szeroki zakres filologii z uszczerbkiem innych nauk, i w dzisiejszym stanie są one tylko szkołą przygotowawczą do nauk uniwersyteckich, zamiast iżby same w sobie były źródłem wszechstronnego wykształcenia, bo nie każdy potrzebuje się kształcić na uczonego filologa specyalistę, i nie każdy może uważać gimnazyum tylko za stopień przejściowy do wyższych nauk. Musimy się więc póty domagać systemu nauk gimnazyalnych, póki one nie będą urządzone w ten sposób, aby ściślejszym węzłem łączyły się z cywilizacyjnemi wymaganiami chwili obecnéj, z żywotnemi potrzebami społeczeństwa, i że tak powiem, praktyką życia, aby w zakresie swym obejmowały w należytéj mierze i w pewném zaokrągleniu wszystkie wiadomości stanowiące fundament wykształcenia humanitarnego. Najlepiéj byłoby, aby początkowe szkoły realne i gimnazyalne połączyć z sobą i przywieść raz do skutku tylekroć podnoszony projekt utworzenia gimnazyów realnych na wzór podobnych istniejących za granicą. Tym sposobem ukończywszy gimnazyum niższe czyli realne, uczniowie czujący uzdolnienie do nauk technicznych, wstępując do wyższéj szkoły realnéj, posiadaliby zasób wiadomości humanitarnych, kształcących umysł i serce, a nawzajem ci znowu, którzyby chcieli oddać się wyższym naukom gimnazyalnym, nie byliby pozbawieni początkowych przynajmniéj wiadomości z zakresu nauk realnych, jak się to dzisiaj dzieje. Gimnazya realne przyczyniłyby się zatém do wszechstronniejszego wykształcenia a nawet do gruntowniejszego, gdyż przez cztery lata nauk w gimnazyum realném, każdy uczeń miałby czas i sposobność rozwinąć i wypróbować swe uzdolnienie i według tego obrać zawód i oddać się wyłącznie naukom realnym lub gimnazyalnym do wyższéj szkoły przechodząc; tymczasem dzisiaj potrzeba wybór ten czynić zaraz na pierwszym kroku, gdy dziecko wpisując się do jednéj lub drugiéj szkoły, nie ma żadnych pojęć o wykładanych tam naukach i nie wiedzieć do czego uzdolnienie okaże. Cóż ztąd ostatecznie wynika? Mnóstwo niedokończonych filologów i miernych techników, a mało pożytku dla kraju i społeczeństwa.

Professor Kuliczkowski wydał ostatni zeszyt swych *Dziejów Literatury*, których pierwsze zeszyty wyszły jeszcze przed dwoma laty. Jest to książka opracowana treściwie według wykładów prof. Małeckiego, mianych na tutejszym uniwersytecie, których przebiegu trzyma się w głównym zarysie. Można ją uważać za

najlepszy podręcznik jaki posiadamy w tym rodzaju, bardzo użyteczny dla młodzieży szkolnéj i w ogóle dla wszystkich chcących powziąść zwięzły i należycie przedstawiony obraz naszego piśmiennictwa. Każdy okres poprzedza autor zarysem dziejów politycznych i ogólnego rozwoju umysłowego, dla uzupełnienia całości obrazu.

Zmarł tutaj Lech Nowakowski artysta dramatyczny. Posiadał on znakomity talent do ról komicznych, zwłaszcza w lekkich komedyach i operetkach *buffo* bywał niezrównany.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

NIEMCY WSPÓŁCZESNE.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 75).

Dawid Strauss, przez Wiktora Cherbuliez'a.— Poeci nowego cesarstwa, przez tegoż.—Teodor Mommsen, przez Gastona Boissier'a. (Revue des deux Mondes, Luty, Marzec i Kwiecień z r. b.)

„Koerner przyjął mnie z ojcowską dobrocią i przedstawił zaraz lunatyczce, która spoczywała w ciemnym pokoju na dole. Wkrótce wpadła w sen magnetyczny,—a ja mogłem po raz pierwszy zaobserwować to zadziwiające zjawisko, w najpiękniejszym jego objawie. Jakiś promień bozkości oblewał chorowitą twarz téj kobiety, o rysach szlachetnych i delikatnych. Mówiła najczystszą niemczyzną, a dykcya jéj łagodna, cicha, uroczysta, dźwięczna, — podobną była do recytatywu. Uczucia wrzące w jéj piersi, to wypływały cicho w powietrze i niknęły jak lekkie obłoczki mgły porannéj, — to znów brzmiały silnie, jak urywane tony arfy eolskiéj. Akcent prawdy, z jakim przemawiała do duchów szczęśliwych lub wyklętych, kazał nam wierzyć, że mamy przed sobą jasnowidzącą, dopuszczoną rzeczywiście do obcowania ze światem nadzmysłowym. Koerner wprowadził mnie z nią wzwiązek magnetyczny; — nie pamiętam chwili uroczystszéj w mém życiu. Byłem mocno przekonany, że skoro tylko palce moje dotkną jéj dłoni, cała moja istota stanie się dla niéj książką otwartą, z któréj nic ukryć przed oczyma jéj duszy nie potrafię. Kiedy wyciągnąłem rękę, zdawało mi się, jak gdyby ktoś usunął z pod nóg moich podłogę i wtrącał mnie w przepaść bez dna."

Obawa młodego mistyka okazała się płonną. Jasnowidząca oddała gorące pochwały jego wierze i zapewniła, że jéj nigdy nie straci. Autor „Życia Chrystusa" lubił przypominać Koernerowi to proroctwo. „Jedno z dwojga — mawiał— albo dziś jeszcze jestem pełen wiary, albo twoja jasnowidząca była fałszywą prorokinią"

Bądź co bądź wieszczka z Preworstu obudziła się na dobre pewnego pięknego poranku, a z nią razem zbudził się i Dawid Strauss. Dwa wielkie umysły panujące naówczas w Niemczech, objawiły mu się nareszcie. Przeczytał *Fenomenologię* Hegla, książkę zadziwiającą, idealną historyę myśli ludzkiéj,—która prowadzona przez świat ręką nieubłaganéj logiki, przezedłszy wszelkie możliwe fazy i metamorfozy, odtwarza sama w sobie rzeczywiste dzieje rodu ludzkiego. Rozmyślając nad tém arcydziełem, Strauss studyował jednocześnie *Dogmatykę* Schleiermachera, wzór rozumowania subtelnego i ścisłego. Przepadły mistyczne marzenia. Wychowaniec Boehmego zabrał znajomość z dwoma potężnymi myślicielami, którzy obudzili w nim świadomość własnego rozumu. Odtąd logika zajmowała go więcéj, jak wszystkie lunatyczki na świecie. Doszedł do przekonania, że prawda nie spływa z niebios niby rosa, że trzeba ją wywalczyć i zdobyć pracą myśli, krwią serca i znojem czoła.

Nienawiść rozczarowanych dla dawnych złudzeń jest rzeczą zwyczajną. — Nim jeszcze biret doktorski spoczął na głowie Dawida Straussa wyszła już na świat jego broszura, w któréj dowodził, że wszystkie zjawiska magnetyczne nie mają w sobie nic nadprzyrodzonego, że rozum pozwala wierzyć w magnetyzm, ale zabrania stanowczo łudzić się cudami i duchami. Ta pierwsza próba pióra zasługuje na odczytanie. Odnaleźć w niéj można jedną z głównych zalet przyszłego krytyka,—mianowicie tę śmiałą dobrą wiarę w wykładzie faktów,—wypowiadanie szczere całéj ich prawdy, bez kuszenia się o ułatwienie spostrzeżeń krytycznych przez dowolne zmiany i dodatki w przebiegu wypadków.

Zawód duchowny dra Straussa trwał niespełna dwa lata. Około r. 1831 porzucił stanowczo suknię pastorską i zaczął się ubiegać o professorat uniwersytetu. W tym czasie oddawał się gorącym studyom nad teologią chrześciańską. Zetknięcie się z mistycyzmem w najpiękniejszych latach życia, zrodziło w jego duszy nieubłaganą a wytrwałą nienawiść ku wszystkiemu co nadprzyrodzone, pokryte cieniem tajemnicy, niepojęte dla myśli ludzkiéj. Analiza podań otaczających cudowną aureolą postać Zbawiciela świata pociągała go coraz silniéj. Pośród tych zajęć obmyślał plan dzieła, które w kilka lat późniéj miało rozledz się wśród kościoła protestanckiego w Niemczech, jak grom spadający nagle z pogodnego nieba.

Życie Chrystusa pojawiło się na świat w 1835 roku. Ażeby zdać sobie sprawę z wrażenia wywołanego tą książką, należy zwrócić uwagę na ówczesny stan umysłów w Germanii. Po długich, zaciętych walkach i sporach, filozofia i religia wywiesiły nareszcie biały sztandar pokoju. Schleiermacher i Hegel, w ostatnich latach życia, przedsięwzięli wielkie dzieło pojednania. Pierwszy z nich, teolog, publicysta i filozof, starał się pogodzić pojęcia wieku z zasadami religijnemi, usuwając z tych ostatnich pojedyncze doktryny sprzeciwiające się rozumowi, ale nie osłabiając w niczém téj wzniosłości poetycznéj, która ujarzmia wyobraźnię i téj tkliwości błogiéj, która koi boleści serca. „Chrześcianizm — głosił Schleiermacher—wywołuje w duszy i sumieniu każdego, co go szczerze wyznaje, następstwa nie dające się z niczém porównać,— dobroczynne uczucia sprawiedliwości i miłości, zgodę z sobą samym i z odwiecznym porządkiem rzeczy, radość wewnętrzną,—zwycięztwo wiary nad śmiercią i grzechem. Ze skutku można sądzić o przyczynie, ze stanu dusz odkupionych o Odkupicielu, z dzieła oswobodzenia o zbawcy, z kościoła o jego Założycielu — i taką to drogą intuicyi Schleiermacher odtwarzał postać Chrystusa, pełną uroku, wzniosłości i potęgi,—podobnie jak Kant z idei obowiązków i wolności człowieka wyprowadzał istnienie Boga i nieśmiertelność duszy.

Jednocześnie znakomity współzawodnik Schleiermachera, Hegel pracował nad pogodzeniem teologów i wierzących ze swoją filozofią. W dziele pod tytułem „Filozofia religii" ogłoszoném w 1821 r. twierdził, że chrystyanizm jest religią bezwzględną, rozpraszającą stanowczo zwątpienia i ciemności, które go otaczały. „Chrystyanizm i filozofia wykładają jednakowe prawdy w dwóch odmiennych językach—mówił Hegel— a w całym moim systemacie odszukać możecie ciągłą harmonię z dogmatami chrześciańskiemi. Religia przemawia językiem symbolicznym i obrazowym—filozofia językiem rozumowania; treść jest jedna i taż sama,—forma tylko się różni."

Po takich usiłowaniach, spokojność publiczna zdawała się na długo zapewnioną. Burza w sumieniach ucichła, nastała epoka ustępstw i błogiéj zgody. „Życie Chrystusa" uderzając na wszystkie podstawy chrystyanizmu, musiało poruszyć umysły do nowych zapasów. W książce téj obok niesłychanéj śmiałości twierdzeń i zaprzeczeń, obok rzadkiéj siły dyskussyi, uderzał jeszcze ton spokojny, poważny, refleksyjny i umiarkowany. Nigdy krytyka negatywna nie przemawiała takim językiem;—ani cienia sarkazmu lub złości, praca systematyczna, przez którą od czasu do czasu tylko przebijała się żywość polemicznéj werwy, powaga urzędnika badającego świadków, proces rozumowania regularny i ostrożny zarazem, lękający się pominąć najmniejszą formalność, a nadewszystko ów rodzaj zmysłu matematycznego, który według Paskala „ma poglądy rozległe, stanowcze i niewzruszone." Młody niszczyciel spoglądał chłodném okiem na ruiny, któremi zasiewał swą drogę, i nie zdawał się nawet domyślać burzy, która miała spaść na jego głowę.

Cała intelligencya Niemiec poruszyła się; od południa do północy ostrzono pióra, aby ich ostrzami przeszyć nowego Iskaryotę. Prawowierni i pietyści, racyonaliści i mistycy, szkoła Schleiermachera i uczniowie Hegla,—ci wreszcie, co wierzyli, i ci, co udawali, że wierzą—wszystko powstało przeciwko niemu jak jeden człowiek. Z rozumowaniami łączyły się skargi, a z jękami obelgi.. Heustenberg oskarżał Straussa, że nosi w piersi Lewiatana, inni nazywali go antychrystem. Ci co myśleli prawie tak samo jak autor „Życia Chrystusa," widzieli w nim dziecko nierozsądne, które przedwcześnie wypaplało tajemnicę familijną, i roztropnie utyskiwali że nie pisał po łacinie.

(d. c. n.)

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 7 (19) Сентября 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand **Mag. Pr. i Adm.**

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.